Honor krwi

TOM WOLFE

PROLOG
Teraśmy w Mi-JA-mi

Bo to ty...

Ty...

Ty, w życiu bazgrzesz mi. Dziergasz moje sny. Mackie, właśnie TY, a dowcip polega na tym, że choć Ed redaguje „Miami Herald", jedną z zaledwie pół tuzina najważniejszych gazet w Stanach Zjednoczonych, Mac, Mackie, Mackie Majcher jest tą, która redaguje i pisze Eda. Mackie Majcher... redaguje... Eda. W zeszłym tygodniu zupełnie zapomniał zadzwonić do Hotchkissa – tego ze zoperowaną zajęczą wargą – dziekana szkoły z internatem, w której uczy się i przebywa „Piąty", ich syn, a Mac, jego żona, jego Mackie Majcher, wpadła z tego powodu w całkowicie uzasadnioną irytację... lecz gdy zaśpiewał jej mniej lub bardziej udatnie tę piosenkę do melodii *You Light Up My Life* (*W życiu bazgrzesz mi... Dziergasz moje sny, Mackie, właśnie TY*), uśmiechnęła się wbrew sobie, a uśmiech rozładował atmosferę, która wcześniej nabrzmiała od stwierdzenia: „Mam dosyć ciebie i twego lekce-sobie-ważenia". Ciekawe, czy ta piosenka zadziałałaby teraz? Czy odważy się spróbować ponownie?

Bo w tej chwili Mac dzierży ster, a raczej kierownicę swego ukochanego i absurdalnie ciasnego, hybrydowego mitsubishi green elf, szykownego i najbardziej obecnie poprawnego politycznie pojazdu, bez powodzenia poszukując miejsca do parkowania między zwartymi rzędami samochodów stojących bok w bok i lusterko w lusterko na tyłach najmodniejszej w tym miesiącu w Miami restauracji stulecia, Balzac, nieopodal Mary Brickell Village. Mac prowadzi samochód. Tym razem jest poirytowana – i znów całkiem słusznie – ponieważ jego „lekce-sobie-ważenie" doprowadziło do opóźnienia wyjazdu do Balzaca, wskutek czego uparła się, by pojechali do tego najbardziej czadowego z gorących miejsc w Miami jej Zielonym Elfem. Gdyby wzięli jego bmw, nigdy by tam nie dotarli, bo Ed doprowadza ją do szału swoją ślamazarną i ostrożną jazdą... co prawdopodobnie, jak domyśla się Ed, ma oznaczać jazdę „tchórzliwą" i „niemęską". Tak czy inaczej, przejęła rolę mężczyzny i Elf pofrunął do Balzaca jak nietoperz, lecz kiedy się tu znaleźli, Mac wcale nie była zadowolona.

Dziesięć stóp nad wejściem do restauracji wisiał olbrzymi, wykonany z żywicy poliwęglanowej znanej jako leksan, medalion o średnicy sześciu stóp i grubości osiemnastu cali z reliefem popiersia Honoré de Balzaca, „zapożyczonym" – jak obecnie w kręgach artystycznych nazywa się kradzież – ze słynnego dagerotypu, którego twórcą był fotograf o pseudonimie Nadar. Oczy Balzaca spoglądały na gości wchodzących do restauracji, a kąciki jego ust unosiły się w serdecznym uśmiechu, ale „zapożyczający" okazał się utalentowanym rzeźbiarzem, gdyż z olbrzymiej płyty leksanu emanowało od środka złociste światło i *tout le monde* wpadał w zachwyt. Oświetlenie parkingu było, niestety, żałosne. Przemysłowe lampy na wysokich słupach zalewały plac ponurym elektrycznym półmrokiem i nadawały liściom

palm żółtawą barwę ropy sączącej się z rany. No właśnie! „Żółtawa barwa ropy sączącej się z rany!”. Ed miał doła, straszliwego doła, siedząc przypięty pasami w fotelu pasażera, odsuniętym maksymalnie do tyłu, gdyż inaczej nie zmieściłby nóg w tym maleńkim autku o kolorze trawy, w dumnie „zieloniutkim” samochodziku Mac, Zielonym Elfie. Czuł się jak pączek z dziurką, jak maleńkie zapasowe kółeczko w bagażniku elfa.

Mac, duża dziewczynka, miała teraz czterdziestkę na karku. Była dużą dziewczynką już wtedy, kiedy przed osiemnastoma laty poznał ją w Yale... Grubokoścista, barczysta, o wzroście pięciu stóp i dziesięciu cali... a przy tym szczupła, gibka, silna, wysportowana i jakby... promienna blondynka, w dodatku pełna życia! Oszałamiająca! Absolutnie zniewalająca duża dziewczyna. Ale spośród zastępów zniewalających dziewczyn duże dziewczyny pierwsze przekraczają niewidzialną granicę, za którą mogą już tylko liczyć – w najlepszym wypadku – na słowa uznania w rodzaju „bardzo przystojna niewiasta” albo „rzeczywiście, atrakcyjna”. Mac, jego żona, jego Mackie Majcher, właśnie znalazła się po tej drugiej stronie.

Westchnęła tak głęboko, że wypuszczane powietrze zaświstało jej między zębami.

– Można by pomyśleć, że w takich restauracjach zatrudniają chłopaka do parkowania aut. Wystarczająco słono sobie liczą.

– To prawda – przyznał. – Masz rację. W Joe’s Stone Crab, w Azul, w Caffe Abbracci i w tej... jak się nazywa ta restauracja w hotelu Setai? Nieważne, ale wszędzie jest obsługa parkingu. Masz absolutną rację. – „Twój światopogląd jest moim *Weltanschauung*. Może byśmy porozmawiali o restauracjach?”.

Cisza.

– Mam nadzieję, Ed, że zdajesz sobie sprawę, jak bardzo się spóźniliśmy. Jest dwadzieścia po ósmej. To już dwadzieścia minut spóźnienia, a jeszcze nie znaleźliśmy miejsca do parkowania, a sześcioro naszych gości czeka...

– Naprawdę nie wiem, co mógłbym... Przecież zadzwoniłem do Christiana...

– ...a to ty jesteś gospodarzem. Czy rozumiesz to? Czy w ogóle to do ciebie dociera?

– Ale przecież dzwoniłem do Christiana i powiedziałem mu, żeby zamówili drinki. Możesz być pewna, że Christian będzie zadowolony... i Marietta też. Marietta i te jej koktajle! Nie znam nikogo innego, kto jeszcze zamawiałby koktajle! – „A co byś powiedziała na drobne *obiter dictum* w sprawie koktajli lub Marietty, razem lub osobno?".

– Mimo to spóźnianie się w taki sposób nie jest szczególnie uprzejme. Doprawdy, Ed, mówię poważnie. To takie lekceważące. Nie znoszę tego.

„Teraz! Teraz albo nigdy! Bo właśnie w ścianie słów pojawiła się szczelina, na którą czekał. Wyłom! To ryzykowne, ale..." – niemal do rytmu, prawie nie fałszując, zanucił:

Bo to ty...
Ty...
Ty, życie bazgrzesz mi.
Dziergasz moje sny,
Mackie, właśnie TY...

Zaczęła kręcić głową.

– Nie wychodzi mi to specjalnie na dobre, prawda? Nieważne! Bo cóż to błąka się tak podstępnie na jej ustach? Czy to uśmieszek? Lekki wymuszony uśmieszek? Tak! „Mam cię dosyć" natychmiast poszło w zapomnienie po raz kolejny.

Znajdowali się w połowie parkingowej alei, kiedy w światłach reflektorów pojawiły się dwie postacie, maszerujące prosto na elfa i prosto do Balzaka – dwie ciemnowłose rozszczebiotane dziewczyny, które musiały przed chwilą zaparkować. Miały nie więcej niż dziewiętnaście, góra dwadzieścia lat. Dziewczyny i poszukujący miejsca elf zbliżali się szybko do siebie. Miały na sobie dżinsowe szorty, których stan znajdował się niebezpiecznie blisko wzgórka Wenery, a obcięte... aż dotąd...! nogawki sięgały zaledwie do panewki stawu biodrowego i w dodatku były wystrzępione! Ich młode nogi wydawały się długie jak u modelek, ponieważ obie szły w lśniących, co najmniej sześciocalowych szpilkach. Zapewne z pleksiglasu czy czegoś w tym rodzaju. Obcasy, gdy padło na nie światło, iskrzyły się złociście. A ociekające tuszem oczy dziewczyn zdawały się pływać w czterech smolnych dołach.

– Rzeczywiście atrakcyjne... – mruknęła Mac.

Ed nie mógł oderwać od nich oczu. To były *Latinas* – choć nie potrafiłby powiedzieć, skąd to wie, podobnie jak nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego *Latina* i *Latino* to hiszpańskie słowa, które istnieją tylko w Ameryce. Te dwie *Latinas*... tak, wyglądały jak dziwki, to prawda, ale ironia Mac nie była w stanie niczego zmienić. Atrakcyjne? To określenie absolutnie nie oddawało tego, co poczuł! Miały tak zgrabne, szczupłe i długie nogi! I takie króciutkie, króciuteńkie szorty! Tak króciuteńkie, że mogłyby z nich wyskoczyć, ot tak! W mgnieniu oka mogłyby obnażyć soczyste malutkie łona i zgrabniutkie, filigranowe jak babeczki pupki... dla niego! I bez wątpienia właśnie o to im chodzi! Poczuł, jak w białych sportowych slipkach rośnie opuchlizna stanowiąca esencję życia mężczyzny. Och, genialne laski!

Kiedy Mac je mijała, jedna z lasek wskazała Zielonego Elfa i obie roześmiały się głośno. Śmiejecie się, co? Niewątpliwie

nie miały pojęcia, jak ekskluzywnie zielony jest elf... ani jaki jest modny i czadowy. Nie miały, by tak rzec, zielonego pojęcia, jakie akcesoria posiada – te wszystkie tajemnicze i wielce ekologiczne wskaźniki, nie mówiąc już o radarze ProtexDeer... oraz zapewne miały bardzo blade pojęcie o tym, że ten maleńki skrzat kosztuje sto trzydzieści pięć tysięcy dolarów. Ed dałby wiele, żeby usłyszeć, o czym teraz rozmawiają. Ale znajdował się w termoizolowanym kokonie elfa za szybą z leksanu, za drzwiami i panelami ze szklanego włókna, w przetworzonym powietrzu klimatyzacją przeciwdziałającą parowaniu, więc nie mógł usłyszeć, co mówi się na zewnątrz. A czy one w ogóle rozmawiały ze sobą po angielsku? Nie poruszały ustami w taki sposób jak ludzie mówiący po angielsku – doszedł do wniosku jako niedoszły mistrz odczytywania mowy z ruchu warg. Musiały pochodzić z Ameryki Łacińskiej. Och, genialne latynoskie laski!

– Dobry Boże! – rzuciła Mac. – Skąd one, u licha, biorą takie migoczące obcasy? – dodała konwersacyjnym tonem. Już nie jest poirytowana. Zły czar się rozwiał! – Kiedy przejeżdżaliśmy obok Mary Brickell Village, widziałam tam wszędzie jakieś przedziwne świetlne miecze – mówiła dalej. – Zastanawiałam się, co to jest. Cała dzielnica wyglądała jak wesołe miasteczko, pełna tych jaskrawych kolumienek światła w tle i półnagich imprezowiczek chwiejących się na swoich obcasach... Myślisz, że to jakaś kubańska moda?

– Nie wiem – powiedział Ed.

I nic więcej, gdyż odwrócił głowę niemal o sto osiemdziesiąt stopni, by przyjrzeć się laskom po raz ostatni – od tyłu. Zgrabniutkie filigranowe babeczki! Widział oczami duszy nawilżacze i krętki spływające po kroczu tych króciutkich, króciuteńkich szortów. Króciutkie, króciuteńkie szorty! Seks! Seks! Seks! Seks! Oto i on, seks w Miami, na złocistych pleksiglasowych tronach!

– Sądzę – odezwała się Mac – że Mary Brickell* nie tylko przewraca się w trumnie, ale pisze zza grobu skargę do redakcji.

– Hej, to jest niezłe, Mac! Mówiłem ci już, że kiedy jesteś w nastroju, potrafisz być całkiem dowcipna?

– Nie. Prawdopodobnie ci umknęło.

– No więc mówię to teraz! „Pisze zza grobu skargę do redakcji!". To całkiem dobre, powiadam ci! Klnę się na Boga, że wolałbym dostać skargę zza grobu od Mary Brickell niż to, co dostaję od tych maniaków... chodzących po mieście z pianą na ustach. – Zmusił się do śmiechu.

To bardzo zabawne, Mac. „Dowcip. Doskonały temat. Wspaniale. Albo, hej, porozmawiajmy o Mary Brickell, o Mary Brickell Village, o listach do redakcji, o małych dziwkach w pleksiglasowych szpilkach, o czymkolwiek, do jasnej cholery, bo jak nie, to... mam już tego dosyć!".

Mac, jakby czytając w jego myślach, wykrzywiła kąt ust w czymś na kształt uśmiechu – chwała Bogu, uśmiechu mimo wszystko – i powiedziała:

– Doprawdy, Ed, spóźnianie się w taki sposób, wymaganie od gości, by czekali tak długo, jest zwyczajnie nie-przy-zwo-i-te! To niewłaściwe i niegrzeczne. Jest oznaką lekce-sobie-ważenia. Jest... – przerwała – ...jest... jest... jest po prostu dowodem gnuśności!

O nie! Znów „lekce-sobie-ważenie" i... Boże Wszechmogący... do tego „gnuśność"! Ed, po raz pierwszy od rozpoczęcia tej poronionej wyprawy, miał ochotę parsknąć śmiechem. „Lekce-sobie-ważenie" i „gnuśność" to terminy z zasobów leksykalnych Białej Anglosaskiej

---

* William i Mary Brickellowie – pochodzące z Cleveland w Ohio małżeństwo właścicieli ziemskich; są uznawani za założycieli Miami na przełomie XIX i XX w.

Protestantki, jaką była jego żona, Mac. W całym hrabstwie Miami-Dade, w całym Wielkim Miami, obejmującym także Miami Beach, tylko przedstawiciele tego kurczącego się, zagrożonego plemionka, do którego należeli oboje – plemionka Białych Anglosaskich Protestantów – używają jeszcze takich słów jak „lekceważenie" i „gnuśność" oraz mają jakiekolwiek pojęcie o tym, co terminy te oznaczają. Owszem, Ed także jest przedstawicielem wymierającego gatunku Białych Anglosaskich Protestantów, ale w ich małżeństwie tylko Mac szczerze wierzy w protestancki dogmat. Nie trzeba chyba dodawać, że nie chodzi o protestancki dogmat religijny. Żaden z mieszkańców wschodniego czy zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych aspirujący choćby do odrobiny wyrafinowania, nie jest już religijny; religijni nie są z pewnością absolwenci Yale, do których zalicza się Ed wraz z żoną. Nie, Mac była okazem gatunku BAP w sensie moralnym i kulturowym. Była BAP-ką purystką, nieznoszącą próżniactwa i indolencji, prowadzących do „lekce-sobie-ważenia" oraz „gnuśności". Próżniactwo i indolencja są nie tylko oznaką marnotrawstwa czasu czy błędnego rozeznania. Są niemoralne! Są zepsuciem! Są grzechem przeciw samemu sobie. Mac na przykład nie znosi wylegiwania się na słońcu. Na plaży, jeśli nie ma nic lepszego do roboty, organizuje marszobiegi. „Wszyscy wstają! W drogę! Przejdziemy plażą pięć mil przez godzinę, po piasku!". Tak, to jest coś. Mówiąc krótko, gdyby Platon przekonał Zeusa – Platon twierdził, że wierzy w Zeusa – by pozwolił mu na reinkarnację i powrót na ziemię w celu odnalezienia idealnego typu Białej Anglosaskiej Protestantki, to przybywszy do Miami, wskazałby na Mac.

Ed, na papierze, jest także typem idealnym tej rasy. Najpierw Hotchkiss, potem Yale... wysoki wzrost, sześć stóp

i trzy cale, szczupły, tyczkowaty... szatyn o gęstych włosach przetykanych tu i ówdzie siwizną, jak dobry tweed z hrabstwa Donegal... tak, właśnie takie ma włosy, ale przede wszystkim nazwisko... nazwisko, które brzmi Topping! Kiedyś zdał sobie sprawę, że jego imię i nazwisko w pełnym brzmieniu – Edward T. Topping IV – są BAP-skie do bólu, wręcz do absurdu. Nawet te nieporównywalne z niczym angielskie okazy snobizmu nie snobują się na trójki, czwórki, piątki czy nawet szóstki, jakie zdarza się niekiedy spotkać w Stanach Zjednoczonych. Właśnie z tego powodu jego syn, Eddie, jest nazywany „Piątym", a jego pełne imię i nazwisko brzmi: Edward T. Topping V. Piątki są ciągle rzadkie. Ale każdy Amerykanin z trójką lub wyższym numerem po nazwisku jest Białym Anglosaskim Protestantem lub miał rodziców, którzy rozpaczliwie życzyli sobie, aby go za takiego uznano.

Ale Jezu Chryste! Co taki Biały Anglosaski Protestant jak on – jedna z ostatnich zagubionych duszyczek wymierającego gatunku, nazywająca się w dodatku Edward T. Topping IV – robi na czele redakcji „Miami Herald"? Przyjął tę pracę zupełnie bez zastanowienia. Kiedy Loop Syndicate wykupił „Heralda" od McClatchy Company i nagle Ed został awansowany z redaktora strony redakcyjnej „Chicago Sun-Times" na redaktora naczelnego „Heralda", interesowała go wyłącznie jedna kwestia – ile kolumn zajmie doniesienie o jego awansie w magazynie absolwentów Yale. Tylko ta sprawa zadomowiła się na dobre w lewej półkuli jego mózgu. O, tak, ludzie z korporacyjnego wydziału oświaty Loop Syndicate urządzili mu briefing. Przynajmniej próbowali. Ale jakimś cudem wszystko, co mieli mu do zakomunikowania na temat sytuacji w Miami, uniosło się nad jego mózgowymi ośrodkami Broki i Wernickego, a następnie rozproszyło jak poranna mgła. Czy Miami jest naprawdę jedynym miastem na świecie, w którym ponad

połowa mieszkańców to niedawni imigranci...? „Niedawni" w sensie mniej więcej ostatnich pięćdziesięciu lat... Hm... Kto by pomyślał... Czy to prawda, że jedna z grup etnicznych spośród tych niedawnych imigrantów, a mianowicie Kubańczycy, kontroluje miasto pod względem politycznym, co oznacza, że w Miami urzęduje kubański burmistrz, że rządzą tu kubańscy naczelnicy wydziałów oraz kubańscy gliniarze, kubańscy gliniarze i jeszcze raz kubańscy gliniarze? Bo sześćdziesiąt procent składu osobowego policji to Kubańczycy, dziesięć procent inni przybysze z Ameryki Łacińskiej, osiemnaście procent Afroamerykanie i tylko dwanaście procent Biali Anglosascy Protestanci. Czy nie odpowiada to przypadkiem składowi procentowemu całej populacji miasta? Hm... Istotnie, interesujące... Swoją drogą, ciekawe, kim są ci „Biali Anglosascy Protestanci" z Miami... Czy rzeczywiście Kubańczycy i inni przybysze z Ameryki Łacińskiej opanowali miasto do tego stopnia, że „Herald" musi wydawać całkiem oddzielną gazetę po hiszpańsku – „El Nuevo Herald" – gdzie pracują sami Kubańczycy, gdyż w przeciwnym razie anglojęzyczny „MH" stałby się zupełnie niepotrzebny? Hm... Chyba coś o tym słyszał... Tak mu się przynajmniej wydawało. A czy to prawda, że Afroamerykanie tak bardzo nienawidzą Kubańczyków, że traktują kubańskich gliniarzy jak przybyszów z kosmosu, zesłanych nie wiadomo skąd tylko po to, by dokopać czarnym? Hm... Patrzcie, państwo... I rzeczywiście próbował się temu przyjrzeć przez... jakieś pięć minut? Bo potem kwestia ta zupełnie zbladła w obliczu dręczącego Eda pytania, czy magazyn absolwentów Yale przyśle swojego fotografa. Potem jeszcze okazało się, że do Miami napływają dziesiątki tysięcy Haitańczyków, którym bardzo się nie podoba, że rząd amerykański zalegalizował bez mrugnięcia powieką napływ nielegalnych imigrantów z Kuby, a nie chce kiwnąć palcem dla Haitańczyków... A co z

Wenezuelczykami, Nikaraguańczykami, Portorykańczykami, Kolumbijczykami, Rosjanami, Izraelczykami... Hm... Naprawdę? Trzeba to zapamiętać... Dobra, jeszcze raz...

Wszakże celem tego briefingu – celem, który próbowano uświadomić Edowi w zawoalowany sposób – było wskazanie nowemu naczelnemu, iż nie powinien wykorzystywać napięć i zadrażnień w Mieście Imigrantów jako czołowych materiałów gazety. W żadnym wypadku. Celem tego briefingu było wskazanie Edowi i redakcji, iż mają „przymykać oczy" na napięcia i zadrażnienia, a w zamian podkreślać Różnorodność, która jest nie tylko dobra, ale i szlachetna, pod warunkiem że nie mówimy o niej w sensie podziałów, bez których wszyscy się obejdziemy. Chodziło o to, by podpowiedzieć Edowi, żeby zachował ostrożność i nie antagonizował grup etnicznych... Powinien znaleźć „złoty środek" i przeczekać jakoś okres do planowanej przez syndykat „cyfryzacji" „Heralda" i „El Nuevo Heralda", która uwolni oba tytuły z przerdzewiałych oków druku i zamieni je w zgrabne e-gazety dwudziestego pierwszego wieku. Podtekst brzmiał następująco: niech kundelki warczą na siebie, skaczą sobie do gardeł i wypruwają bebechy ostrymi jak brzytwy kłami, ty masz podkreślać Różnorodność i przypominać im, żeby umyły zęby.

To wszystko wydarzyło się przed trzema laty. Ed, w ogóle nie słuchając, co do niego mówiono, niczego zrazu nie pojął. Trzy miesiące po objęciu stanowiska redaktora naczelnego puścił do druku część pierwszą reportażu młodego odważnego dziennikarza śledczego o tajemniczym zniknięciu dziewięciuset czterdziestu tysięcy dolarów, przyznanych przez rząd federalny pewnej antycastrowskiej organizacji z Miami, by mogła rozpocząć nadawanie niedających się zagłuszać programów telewizyjnych na Kubę. Żaden z podanych w reportażu faktów nie został obalony czy choćby poważnie

zakwestionowany. Ale „społeczność kubańska” – bez względu na to, co ów termin oznacza – podniosła taki rwetes, że zakołysała Edem w posadach. Najpierw „społeczność kubańska” zablokowała linie telefoniczne, maile, strony internetowe, a nawet faksy zarówno „Heralda”, jak i kwatery głównej Loop Syndicate w Chicago, tak że wszystko to zwyczajnie padło. Potem przed siedzibą „Heralda” zaczęły się zbierać tłumy, które całymi dniami wrzeszczały, skandowały, wyły i wymachiwały transparentami głoszącymi, iż należy WYBIĆ WSZYSTKIE CZERWONE SZCZURY W HERALDZIE; a ponadto FIDEL, SI! PATRIOTYZM, NO!; BOJKOTUJCIE EL HABANA HERALD; EL MIAMI HEMOROIDY; MIAMI HERALD TO DZIWKA CASTRO; MIAMI HERALD... i tak dalej, i tym podobne. Wśród nieustającej kanonady wyzwisk, jakimi hiszpańskojęzyczne stacje telewizyjne i radiowe obrzucały Loop Syndicate, nowych właścicieli „Heralda”, najłagodniej brzmiało określenie firmy mianem „zaraźliwego, skrajnie lewicowego wirusa”. Sam „Herald”, zawiadywany przez „bolszewickich komisarzy”, stał się gniazdem „otwarcie lewicowych, radykalnych intelektualistów”, jego nowy naczelny, Edward T. Topping IV, okazał się „towarzyszem i fagasem Fidela”. Młody odważny reporter był – jak dowodzono w blogach – „zagorzałym komunistą”, a w dzielnicach Hialeah i Mała Hawana rozdawano ulotki i wieszano afisze z jego podobizną, adresem, numerami telefonów – komórkowych i stacjonarnych – oraz napisem: POSZUKIWANY ZA ZDRADĘ. Groźby śmierci wymierzone w dziennikarza, jego żonę oraz trójkę małych dzieci padały gęsto jak strzały z karabinu maszynowego. Syndykat zareagował, wytykając Edowi – jeśli umie się czytać między wierszami – że jest zramolałym kretynem: publikację części drugiej i trzeciej reportażu wstrzymano i wyraźnie

poinstruowano „zramolałego kretyna", żeby w ogóle nie pisał o grupach antycastrowskich, o ile policja nie oskarży ich oficjalnie o morderstwo, podpalenie czy napad z bronią w ręku, w wyniku którego doszło do poważnych strat i ofiar. Syndykat sarkał na koszty przeniesienia reportera wraz z rodziną – pięciu osób! – w bezpieczne miejsce na sześć tygodni, a do tego wynajęcia ochrony.

W ten sposób Edward T. Topping IV wylądował na latającym spodku z Marsa w samym środku ulicznej bójki w Miami.

Tymczasem Mac dojechała Zielonym Elfem do końca jednej parkingowej alei i skręciła w drugą.

– Ożeż ty... – wykrzyknęła i ugryzła się w język, nie bardzo wiedząc, jak jeszcze mogłaby obrazić złoczyńcę, w którego tył o mało nie wjechała.

O mało nie wjechała w kufer dużego złocistego mercedesa, złocistego w dystyngowany europejski sposób... a może to nawet był maybach... lśnił w zamierającym elektrycznym półmroku i szukał, jak oni, wolnego miejsca do parkowania. Jeśli jakieś się znajdzie, mercedes czy maybach będzie pierwszy.

Mac zwolniła, by zwiększyć odstęp między samochodami. W tej samej chwili usłyszeli pisk opon hamującego szaleńczo auta. Wnosząc z odgłosu, jadący z dużą prędkością kierowca wykonał tak karkołomny skręt o sto osiemdziesiąt stopni, że opony wydarły się pod niebiosa. Teraz samochód znów brawurowo przyspieszał tuż za nimi. Jego przednie światła rozświetliły wnętrze Zielonego Elfa.

Co to za idioci? – Mac niemal wrzasnęła.

Oboje z Edem zaparli się nogami o podłogę, oczekując nieuniknionego uderzenia w tył, ale samochód zahamował w ostatnim momencie i zatrzymał się jakieś dwa jardy za ich kufrem. Kierowca, dla fasonu, ze dwa razy przegazował silnik.

– Co ten idiota sobie wyobraża? – spytała Mac. – Przecież nie może nas wyprzedzić, nawet gdybym go puściła!

Ed obrócił się na fotelu, by przyjrzeć się winowajcy.

– Jezu Chryste, nic nie widzę przez te oślepiające światła! Ale to chyba jakiś kabriolet. Zdaje się, że prowadzi kobieta, ale nie jestem pewny.

– Prymitywna dziwka! – rzuciła Mac.

A potem... Ed nie wierzył własnym oczom! Tuż przed nimi w ścianie aut po prawej stronie zapaliły się światła cofania! Oraz czerwona diodowa lampa hamulca za tylną szybą! To światło stopu znajdowało się tak wysoko, że cofające auto nie mogło być niczym innym, jak tylko jakimś escalade albo denali czy innym behemotem z gatunku SUV-ów. Czy to możliwe... żeby ktoś chciał wyjechać z tej nieprzeniknionej ściany litego metalu?

– Nie wierzę – oznajmiła Mac. – I nie uwierzę, dopóki nie wyjedzie. To cud!

Jak jeden mąż spojrzeli przed siebie, aby przekonać się, czy konkurencja, a mianowicie mercedes, zauważyła światła i czy cofa się, by zająć należne jej miejsce. Chwała Bogu mercedes nie zahamował... patrolował dalej aleję... zbliżając się do jej końca... zupełnie nieświadom cudu, jaki się dokonał.

Pojazd wyjeżdżał powoli ze ściany aut... gigantyczny, czarny... olbrzym...! Cofał wolno... bardzo wolno... Był to prawdziwy potwór, a imię jego brzmiało anihilator. Chrysler rozpoczął produkcję tego monstrum w roku 2011, by konkurować z cadillakiem escalade.

Jaskrawe światła samochodu stojącego za ich plecami zaczęły z wolna opuszczać wnętrze elfa, by raptem zupełnie zniknąć. Ed obejrzał się przez ramię. Kierowca kabrioletu wrzucił wsteczny bieg i wykonywał manewr zawracania. Ed dopiero teraz mógł lepiej się przyjrzeć tamtemu autu. Tak, za kierownicą siedziała kobieta, ciemnowłosa, młoda z

wyglądu, a kabriolet – Chryste Panie! – był białym ferrari 403!

Wyciągnął rękę ku tylnej szybie i zwrócił się do Mac:

– Twoja prymitywna dziwka odjeżdża. Zawraca, żeby skręcić w sąsiednią aleję. I nie uwierzysz, czym jeździ... ferrari 403!

– Co oznacza...?

– Co oznacza, że porusza się autem wartym dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów! Ten model ma prawie pięćset koni. Na tych ferrari ścigają się we Włoszech. Kiedyś zamieściliśmy cały artykuł o czterystatrójce.

– Och, przypomnij mi później, na pewno przeczytam – rzuciła Mac. – Ale w tej chwili to cudowne auto ma tylko tę zaletę, że odjeżdża nim ta prymitywna dziwka.

Za ich plecami rozległ się złowieszczy pomruk cudownego auta, a zaraz potem przeraźliwy pisk opon – siedząca za kierownicą ferrari kobieta paliła gumę, żeby zawrócić tam, skąd ją przyniosło.

Anihilator cofał się... niezgrabnie... bardzo niezgrabnie. Czarny gigantyczny kufer jął zwracać się ku Zielonemu Elfowi... ciężko... zwaliście... by wykręcić na wprost i ruszyć ku wyjazdowi z parkingu. Anihilator przypominał olbrzyma, który pożera zielone elfy na drugie śniadanie jak jabłka albo batoniki musli. Mac, wyczuwając bez wątpienia tę przewagę, wrzuciła wsteczny bieg i cofnęła elfa, by zrobić olbrzymowi tyle miejsca, ile tylko było mu potrzeba.

– Czy zauważyłaś – zapytał Ed – że ludzie kupujący tego rodzaju pojazdy nigdy nie wiedzą, jak się je prowadzi? Każdy manewr zajmuje im całą wieczność. Nie mają pojęcia o kierowaniu czołgami.

Teraz przed ich oczami roztoczył się widok na niemal nierealny twór geograficzny... puste miejsce parkingowe.

– Okay, chłopie – mruknęła Mac, mając na myśli anihilatora – bierz dupę w troki i spadaj!

Kiedy tylko wypowiedziała słowo „spadaj”, u wylotu alei zagrzmiał dudniący mechaniczny ryk wysokoobrotowego silnika spalinowego oraz gniewny wizg gumy. Boże Wszechmogący! Jakiś samochód przyspieszał tak gwałtownie jak tamto ferrari i pędził parkingową aleją pod prąd! Mając przed oczami kadłub anihilatora, Ed i Mac nie widzieli, co się przed nim dzieje. W następnym ułamku sekundy ryk silnika nasilił się – łamiący przepisy pojazd musiał zdecydować się na czołowe zderzenie z czołgiem. Klakson anihilatora i jego światła stopu wydarły się na czeeeeerwoooono – piiiiiisk gumy – nadjeżdżający z przeciwka pojazd skręęęęęęęcaaaaa gwałtownie, by nie zderzyć się z SUV-em – biała plaaaaaama, zwieńczona maleńką czaaaaaaarnąąąąą plaaaaamkąąąąą, wyjeeeeeeechaaaaaawszy zza anihilatora, przeeeeeeemyyyyyykaaaaa z prawej strony Eda i gna, i wtacza się na mityczne puste miejsce parkingowe, paaaaaaląąąąc gumę przy hamowaniu tuż przed Edem i Mac.

Szok, osłupienie – i łup! – ich ośrodkowe systemy nerwowe zalewa fala... poniżenia! Białą plamą było ferrari 403; maleńką czarną plamką fryzura prymitywnej dziwki. Trafiło to do nich szybciej, niż da się to wypowiedzieć. Gdy prymitywna dziwka zdała sobie sprawę, że zwalnia się miejsce parkingowe, zawróciła, popędziła pod prąd sąsiednią aleją, zakręciła za ścianą samochodów, wjechała w tę aleję – znów pod prąd – przedarła się obok anihilatora i wstrzeliła się w wolny prostokąt. No bo przecież właśnie do tego służy ferrari 403! I cóż może na to poradzić taki uległy ekologiczny aktywista jak Zielony Elf, uszczęśliwiający straszliwie poranioną Matkę Ziemię drobnymi dobrymi uczynkami? Nie ma innego wyboru, musi to przyjąć jak... jak elf.

Anihilator pożegnał się z prymitywną dziwką kilkoma gniewnymi rąbnięciami pięścią w klakson, po czym potoczył

się przed siebie, kierując się najprawdopodobniej ku bramie. Ale Mac nie ruszyła się z miejsca. Nie miała zamiaru nigdzie stąd odjeżdżać, dotknięta do żywego, wściekła.

– Co za dziwka! – warknęła. – Co za bezczelna mała dziwka!

Wypowiedziawszy te słowa, wrzuciła bieg i podjechała kawałek, zatrzymując się tuż za ferrari, które znalazło się z prawej strony ich autka.

– Co robisz? – zapytał Ed.

– Jeśli komuś się wydaje, że ujdzie mu to na sucho, zaraz zmieni zdanie – odparła. – Chce z nami pogrywać? Okay, zabawimy się.

– Jak to? – spytał Ed.

Szczęka Mac napięła się zdecydowanie po BAP-sku. Wiedział, co to oznacza. To oznacza, że transgresja, jakiej dopuściła się ta prymitywna dziwka, nie była zwykłym przejawem braku szacunku i złego wychowania. Stała się grzechem śmiertelnym.

Ed poczuł, że przekładnia w jego sercu wrzuciła wyższy bieg. Od najwcześniejszych lat unikał publicznego okazywania złości i wystrzegał się przemocy fizycznej. A poza tym był naczelnym „Heralda", człowiekiem Loop Syndicate w Miami. W cokolwiek się wda w miejscu publicznym, zostanie to nagłośnione po stokroć.

– Co chcesz zrobić? – Był świadom, że nagle straszliwie ochrypł. – Jestem pewien, że to niewarte... – Zapomniał słowo, którym kończył się ten frazeologizm.

Mac i tak nie zwracała na niego uwagi. Wbiła wzrok w prymitywną dziwkę, która właśnie wysiadała z ferrari. Widzieli jedynie jej plecy. Ale gdy tylko zaczęła się odwracać w ich stronę, Mac nacisnęła guzik otwierający okno pasażera, przechyliła się nad udami Eda i zadarła głowę, by spojrzeć dziwce prosto w oczy.